

Autobus podjechał na przystanek, zabrał ludzi. Nie ma w tym żadnej sensacji. Jeśli policzyć wszystkie przystanki na świecie, to wyłączając takie miejsca jak okolice Lublina i Lubartowa, autobusy przynajmniej raz dziennie podjeżdżają na przystanek i zabierają ludzi. Ten nie był wyjątkowy. Był zimny, listopadowy dzień. Podobno gdzieś spadł śnieg.

Na przystanku stało troje ludzi. Młoda, niska kobieta o twarzy bez wyrazu, starszy pan o mocnych rysach i nijakich oczach, z teczką pod pachą. No i stał mężczyzna. Albo kobieta. Nieważne kto stał, nie ważne kto wsiadł. Ważniejsze rzeczy działy się później. Kierowca, około pięćdziesięcioletni, spojrzął w lusterka, upewniając się, że wszyscy wsiedli i zajęli swoje ulubione miejsca. Starszy pan usiadł z tyłu, przy młodej, wysokiej dziewczynie. Niska kobieta z przodu, tyłem do kierunku jazdy, a ostatni pasażer... Zresztą nieważne kto gdzie siedział. Kierowca zachichotał bezgłośnie, zmrużył oczy i ruszył leniwie.

Autobus toczył się po asfalcie, połykając kolejne dziury, wybrzuszenia i depcząc, pozostałe po nocnym deszczu, kałuże. Pojazd był wielki, zajmował całą szerokość pasa jezdni i wydawał się długi na kilometr. Był oczywiście normalnie długi, może nieco dłuższy niż przeciętny autobus. Na pewno nie miał kilometra długości. Nie ma przecież takich autobusów. Małe samochodziki tłoczyły się za nim w długim korku. Co rusz jeden wyścibiał kadłubek z myślą „a może wyprzedzić?”. Żaden się nie zdecydował i dlatego autobus na przedzie, reszta za nim. Ot typowy sznureczek miejskiej trasy z przedmieść do centrum.

Pasażerowie byli zajęci swoimi sprawami czyli tęnym patrzaniem się w okna, studiowaniem napisów typu przycisk, trasa, bilety i tak dalej. Autobus to świetne miejsce służące do grupowania słów. Szkoda, że nie ma autobusów, gdzie pogrupowane są słowa związane z plażą. Na przykład przy drzwiach słowo falochron, na tablicy z przystankami molo, a przy kasowniku biletów piasek, bikini. Można by zmieniać grupy od czasu do czasu na inne (niebo, gwiazdy, pełnia, sonda kosmiczna albo trawa, kwiatek, pszczołka, pasikonik). Zostawmy napisy w autobusie i przejdźmy do sytuacji, jaka wystąpiła nieoczekiwanie.

Gdy jeden z pasażerów z namaszczeniem patrzył się w szybę poczuł, że na jego głowę coś kapie. Kap, kap, kap. Leciutko, w interwale kilkusekundowym. Dłonią zmierzwił włosy, przejechał palcami po czuprynie i patrzył się dalej. Kapanie nie ustawało. Jeszcze raz przejechał palcami po głowie i popatrzył z przejęciem na swoją dłoń. Była zielona. Zielona od tego co kapało. Spojrzął w górę, a tu kap mu prawie w oko. Zielona kropelka. Usłyszał przy tym lekkie poruszenie obok siebie. Rozejrzył się po autobusie, a tam większość pasażerów wycierało głowy, uskakiwało od padających z góry kropek. Zielone głowy, zielone buzie, zielone dłonie. Zielone kurtki, zielone spodnie, zielone plecaki i zielone torebki.

Wyglądało to na sprawkę księdza proboszcza, który w liturgicznych szatach, przeszedł i kropidłem pryskał wiernych. Tylko z kropidła miast święconej wody, tym razem poleciała zielona ciecz. Ktoś krzyknął ze złością „O co tu chodzi?”, wówczas inni poczuli się upoważnieni do podniesienia głosu i również krzyczeli. W końcu siedzący z tyłu pan z wielkim sumiastym wąsem krzyknął: „Zatrzymać autobus! Zatrzymać autobus!” Inni podchwycili i w stronę kierowcy popłynęła nieskoordynowana kakafonia krzyków, by zatrzymać autobus. Jeden z pasażerów, z płynącą po czole, nosie i policzkach, strużką zielonej cieczy, zbliżył się do szyby oddzielającej pasażerów od kierowcy. Przytknął zielony nos i huknął „Zatrzymaj pan ten cholerny autobus!” Kierowca chichotał i udawał, że nie słyszy. Po chwili przy kabinie zgromadził się spory tłum. Dwie starsze kobiety napierały całym biuściastym jestestwem naprzód, a chu-

dy pan wbity między nimi jęczał, że, o Jezu, zaduszą. Dwie młode dziewczyny piszczały przerażone. Tylko w tyle ktoś zachowywał niezmacony zielenią spokój. Trzeci z pasażerów, wymienionych na początku, otworzył parasol i z nałożonymi słuchawkami na uszy czytał rosyjską powieść pt. „Mistrz i Małgorzata”. Książkę trzymał na kolanach, a zielony deszcz spływał strumykiem z parasola na podłogę.

Kierowca kątem oka zauważył parasol i jęknął. Zatrzymał autobus, otworzył drzwi. Ludzie wybiegli, trając się wzajemnie. Pojazd opustoszał. Kierowca założył granatową czapkę z daszkiem, na którym wesoło pobrzmiwało hasło „Spotkajmy się na trasie!”. Z tyłu czapki, w postaci transferu, na zdobionym zapięciu, przedstawiał się adres internetowy „www.ztm.waw.pl”. Mężczyzna szybkim krokiem, podszedł do osobnika czytającego książkę.

„Co pani na Boga robi! – powiedział zdenerwowany – Nie wie pani, że otwieranie parasola w zamkniętym pomieszczeniu przynosi pecha?”

----

Od autora:

Powyższy tekst został napisany, na podstawie autentycznej informacji prasowej (oryginalna pisownia, nie powinny dziwić błędy, bo to z portalu gazeta.pl):

"09:24 Pan Michał informuje nas o niecodziennej sytuacji, której byłem świadkiem w autobusie linii 401.

"Na wysokości przystanku Sasanki z sufitu zaczęła się wydobywać zielona ciecz i kapać na ludzi. Chwilę później ciecz wydobywała się ze wszystkich szpar i lała się na ludzi. Kierowca nie chciał się zatrzymać, mimo że ludzie krzyczeli do niego. Dopiero jak już całkowicie się lało na ludzi, postanowił zatrzymać autobus. Nie wiadomo co to za ciecz, ale mnóstwo ludzi było oblanym tym czymś."

"

i dedykuję go mistrzowi Bułhakowi, autorowi najpiękniejszej książki na świecie.

Osobiście obstawiam, że lał się płyn z klimatyzacji, no, ale od czego jest wyobraźnia, prawda?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

alea, dodano 25.03.2019 10:48

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).